Tygodnik

3 Kwietnia. — 14. — 1819.

Szczęśliwy kto wdzięk wraz z pożytkiem złączył!

Krasicki wiersz przedostatni Myszeidy

O SZCZĘŚCIU CZŁOWIEKA.

Dokończenie.

(Patrz numer 8. Tygodnika.)

Kiedy Stwórca Człowieka do siebie przybliżył,
I przed nim pozostałe istoty poniżył,
Władz duszy i przymiotów hojnie mu udzielał,
I szlachetne uczucia w jego serce przelał:
Przez nie to człowiek, węzłem społecznym się sprzęgnoł;
Przez nie to przeznaczonej wielkości dosięgnoł,
I nietylko zmysłowej dogodził potrzebie,
Lecz roskoszami serca uszczęśliwił siebie.

Wszystkiemi nas darami otoczyły nieba,
I by zostać szczęśliwym użyć ich potrzeba.

O jak litości godny los tego człowieka,
Co w smutku pogrążony od ludzi ucieka,
Co podług swego serca wszystkich serca mierzył,
A raz będąc zdradzonym więcej nie zawierzył!
Zerwał najświętsze związki, w głąb lasów się schronił,
Tam nad ludzi zepsuciem łzy daremne ronił,
Tam życie obmierziwszy samotnie narzeka,
Że do samych udręczeń Bóg stworzył człowieka,
Że wpośród tylu nieszczęść których ciężko przeżyć,
Niż się życia pozbawiać, lepiej było nieżyć.
My którzy ludźmi będąc, ludzkie żądze mamy,
Gwałtownej ich popędom nie zastawim tamy;
Lecz bodźce czynów naszych bacznym śledząc okiem,
Z wczesnym się i surowym wstrzymamy wyrokiem.
Ze nieustanny odgłos zbrodni towarzyszy,
A cnota w skromnej zwykle zostaje zaciszy,
Ztąd poznajmy że ludzie są jeszcze cnotliwi,
Nigdy bowiem zbrodniarzy, zbrodnia nie zadziwi.
Od zbytniego oklasku prawa cnota stroni,
Znajdziesz jej liczne wzory w domowej ustroni,
Tam gdzie jest z religią moralność złączona,
Gdzie co jedna rozpocznie to druga dokona,
Gdzie wpośród drogich wspomnień i uciech niewinnych,
Człowiek swojego szczęścia szuka w szczęściu innych.

Szczęśliwy kto się w próżnym wstrzymując zapędzie
W pośród rodziny swojej życie pędzić będzie.
Kto dzieciom swoim przykład z własnych dając czy-
Godnych siebie krajowi usposobi synów. (nów
Ten zaś który takiego szczęścia nie posiędzie,
Niechaj przynajmniej ojcem nieszczęśliwych będzie!
Wdzięczność go za to czeka, tkliwych serc nagroda.
A jeźli niewdzięcznemu ludzką rękę poda,
Nie zaginie dar jego, bo mu pozostanie,
Godna cnoty zapłata, własne przekonanię.

Ty z niebios dobroczynnych zesłana na ziemię,
Przyjaźni! zmniejszająca naszych nieszczęść brzemię,
Ty, gdy cnotliwe serca ścisłym węzłem spajasz,
Nie dasz im upaść w nędzy, a szczęście podwajasz;
Ten tylko człowiek tobą gardzić się ośmiela,
Kto nie umiał prawego obrać przyjaciela.
Piękne wzory przyjaźni, wiecznej godne chwały,
Krolów i Bohaterów dzieje zachowały.
Kto na tych nieprzestając jeszcze więcej żąda,
Niech życia ustronnego wypadki przegląda,
Liczne prawej przyjaźni tam znajdzie przykłady,
Nowe Leszki, Goworki, Oresty, Pylady,
Których ani dziejopis w dziejach nie uświęci,
I wiecznie godne słynąć, giną w niepamięci.

Człowiek w tyle pomysłów, w tyle władz bogaty,
Jak ma gwałtowną żądzę nabycia oświaty!

Nigdy się w jego sercu ta chęć nie oziębi,
Dochodzi do najskrytszych przyrodzenia głębi.
Jakże swych wiadomości granice rozszerzył,
Ile przyczyn już odkrył, ile sił wymierzył.
Chwała ci Koperniku! chwała ci Newtonie!
Szczęśliwy kto podobną żądzą nauk płonie,
Kto obala przesądy, błędy wykorzenia,
Kto wiedzie w drogę prawdy z drogi uprzedzenia!
Do głoszenia ich chwały mój głos jest za słaby,
Inne ja pragnę nauk wystawić powaby.
Ten co niegdyś pozyskał przez wymowy dzielność,
Rzymowi ocalenie, sobie nieśmiertelność,
Gdy otoczony wojny domowej pożarem,
Z Rzymem się przed wyniosłym ukorzył Cezarem,
Zamknąwszy się w zaciszu Tuskulańskiej włości,
Naukami osładzał utratę wolności.
W każdejśmy porze wieku, w każdej życia chwili,
Dobroczynnego nauk skutku doświadczyli,
W młodości od gwałtownych wstrzymują uniesień,
Niezliczonemi skarby zdobią naszą jesień,
A nawet i w starości wierne nam do końca,
Ostatnim naszą zimę zdobią blaskiem słońca.

Lecz żebyśmy człowieka wybadać zdołali,
Przeważyć jego losy na dokładnej szali,
I wewnętrzne uczucia zgodzić z przekonaniem,
Od kolebki do grobu postępujmy za niem,
A zarazem i szczęścia zasady oznaczem.
Dziecię, swe przyjście na świat oznajmuje płaczem,

Lecz wkrótce narzekania radością przedziela,
I roskosznym uśmiechem matkę rozwesela,
Już wzrasta, już się z więzów wyrwawszy powicia,
Słodkiem darzy nazwiskiem sprawców swego życia.
Jedno go nic uderza, jedno nic zadziwia,
Jedno go nic zajmuje, bawi, uszczęśliwia.
Lecz już niezwrotne lata szybkim pędem płyną!
Gdy się w nim władze duszy i ciała rozwiną,
Słabe dziecię kwitnącym młodzieńcem się staje.
   Ten się już gwałtowniejszym uczuciom poddaje,
Kiedy mu wszystko sprzyja, i wszystko się śmieje,
Najświetniejsze w przyszłości zakłada nadzieje.
Żyje w świecie urojeń, w świecie wyobraźni,
Szlachetne jego serce otwarte przyjaźni.
Zbogacają go nauk rozliczne rodzaje,
Poznaje czem ma zostać, godność swą poznaje,
Przeznaczenia swojego wielki cel postrzega,
I z godną wytrwałością ten zawód przebiega.
Lecz wkrótce przerażony nagłym lat upływem,
Chce trwalszym losy swoje umocnić ogniwem.
Wiele rzeczy doświadczył, wiele ludzi poznał,
Wiele poniósł zawodów, wielu cierpień doznał.
Uskramia swe popędy, żądze ogranicza,
Już go nie tyle przyszłość uwodzi zwodnicza,
Zbiera plony po pracach i po troskach długich,
I szczęscia szuka, szczęściu nie ujmując drugich.
Mąż, Ojciec, Obywatel i Urzędnik prawy,
Chce pozyskać przyjaciół, chce dostąpić sławy:

Widzi w dzieciach cnotliwie prowadzonych z młodu,
Godnych siebie zastępców w posłudze narodu.
A kiedy jego oczy wieczna noc okryje,
W nich swą pamięć zapewni, w ich sercu odżyje.

Już się pogodne słońce schyla do zachodu,
Już się przybliża koniec chlubnego zawodu,
Cnotliwemu mężowi w samym życia kresie,
Szczęście, lat upłynionych pamiątka przyniesie.
Gdy przed oblicze swoje Stwórca go powoła,
Śmierć bliska pogodnego nie zachmurzy czoła,
Bo wspomni: że na próżno długich lat nie użył,
Że Bogu, spółeczności i ojczyznie służył.

F. Dmochowski.

BEN-GRYANAN.

Powieść Kaledońska (a).

Syn cudzoziemca, lecz na Angielskim okręcie zrodzony, pozyskałem według praw Wielkiej Brytanji zaszczyt jej obywatela. Gdym kończył rok trzynasty, ojciec mój dla interesów handlowych osiadł w Edynburgu. Nie miałem skłonności do kupiectwa, poświęciłem się naukom. Wychowanie młodych w Anglji jest bardzo surowe; nawet uczniowie szkół wyższych, prowadzą życie prawie zakonne. Sposòb jakim nimi kierują, zbliża się do pedantyzmu, ale ma tę korzyść niezaprzeczoną, że młodzieniec daleki od głośnych rozrywek, zawcześnie nie poznaje tych wszelkich uciech, które dopiero męża powinny być nagrodą. Jeżeli z jednej strony nie oswoi się ze światem i jego zwyczajami, nabiera z drugiej tego ukształcenia, które klassycznem można nazwać, a w którem bez wątpliwości Szkoci celują nad innemi narodami Europy. Im bardziej ograniczonym jest zakres w którym żyjemy: tym mocniej działa na nas to wszystko, do czego zbliżyć się nam wolno. Tam to wszelka wiadomość najmocniej utkwić może w młodocianym umyśle, tam to najtrwalej zawięzuje się węzeł przyjaźni.

(a) Kaledonja północna część Szkocji.

Jeden z współuczniów moich rodem z Kaledonji, pilnością i słodyczą swoją odznaczał się od innych. Lubiony od nauczycieli, cały oddany naukom, stał się przykładem dla wszystkich. Chciałem się zbliżyć do niego, ale to nie było łatwo.

Wesołość i szczerość rozróżnia zwykle Szkotów od Anglików, lecz mój Kaledończyk w tej mierze bardziej do Anglika był podobnym. Rozmawiał tylko z kilku swiomi towarzyszami, i zarówno z jednym jak z drugim. Kto się chciał zbliżyć do niego, przed tym starannie się cofał. Duma moja nie pozwoliła bym się sam mu narzucał, chociaż słodkiem i ujmującem spojrzeniem ciągnął mnie ku sobie. Nie bylibyśmy może ściślej się z sobą połączyli gdyby nas miłość nauk nie zbliżyła. — Dowiedział się, że dobrze umiem po niemiecku. — Cały w ten czas byłem przejęty pięknościami nowo wzrastającej Literatury tego narodu, opowiedziałem mu co mnie najbardziej uderzyło; w kilka dni przyszedł on do mnie z prośbą bym go uczył po niemiecku, i a żeby się wywdzięczyć, dodał, nauczę cię języka Kaledońskiego, języka Ossjana." Z całym zapałem młodości, wzięliśmy się do nowego dzieła. Musieliśmy się często widywać, polubiliśmy wzajemne prace, a wkrótce zostaliśmy przyjaciołmi. Potrzeba wylania uczuć naszych przezwyciężyła wszystko, przezwyciężyła rożność wyznania, ojczyzny a nawet i harakteru. Wkrótce nie odłączaliśmy się od siebie.

W wolnych godzinach przechadzaliśmy się razem, a na skałach czerpali świeże powietrze, i nowo siłę do wytrwałości w trudach naszego powołania.

Podziwienia godno jest okolica, w której Szkot stolicę swoję założył. Na nierównych spadzistych skałach, leży stare miasto w ujmującym nieporządku. Tuśmy mięszkali; ale chętnie porzucaliśmy krzywe ścieśnione ulice, i wstępowali na zamek, starożytne siedlisko Królów Szkockich, co na skale wysokiej nad nowem miastem panuje. Pięliśmy się na najwyższy wierżchołek góry, gdzie nadzwyczajnie sterczoca skała, nosi nazwisko siedziby Artúra. Tu siedzoc, zatopieni w widoku miasta, morza i skał okolicznych, zapominaliśmy o wszystkiem co nas otaczało, bo imię wielkiego człowieka przywiozane do wspaniałego położenia, nadaje miejscu temu godność i świętość, która na młodocianych umysłach tym mocniejsze czyni wrażenie. Ztod spuszczaliśmy się do nowego miasta, leżocego na spadzistości skał aż do morza się pochylajocej. Oba miasta przedziela straszliwa głębia. W tej przepaści so także domy, przechodzo się ludzie, nad nio zawiesiła sztuka kilka mostów dla łatwiejszego połoczenia nowego miasta ze starem. Na jednym miejscu spadek jest tak przerażajocy, że aż żelazno krato, straszno przepaść zasłoniono. Tu często nachyleni nad jej brzegiem, spoglodaliśmy na ulice pod nogami naszemi

leżące. Jakże małemi zdawały się nam dzieła ludzkie, ludzie, jakże mniejszemi!— Poruszenia ich niknęły przed naszem okiem. Wtedy przeniesieni w duchu między mięszkańców szczęśliwszej krainy, ścisnęliśmy się z braterską miłością i ze łzami w oczach, przysięgli, nie uledz losowi który nas rozdzieli, ni w tłumie zapomnieć o sobie. Wracaliśmy spokojni i szczęśliwi.

Wiem co zwykle trzymają o przyjaźni, którą ognista młodość kojarzy; przecięż już lat pięćdziesiąt minęło, a jeszcze serce moje mocniej bije, kiedy sobie wspomnę te szczęśliwe chwile, w których ja i mój przyjaciel, dzieliliśmy wszystko z sobą, spoczynek i pracę, smutek i radość, kiedy w skromnej izdebce otaczały nas wszystkie cuda wyobraźni, kiedy nawzajem powierzaliśmy sobie wzajemnie zamysły czynnego lub spokojnego życia. Nie jeden nam wieczór przeminął przy opowiadaniu dzieł przodków naszych, i to wiązało nas z sobą, bo z czegóż przyjaźń młodzieńcza korzystać nie umie? Ojciec mój opuścił był Szwajcarją, o mniemania religijne od niespokojnych współobywateli prześladowany. Jak przez sen marzyły mu się Alpy, jeziora, kopalnie; w czarownym obrazie określałem je przyjacielowi mojemu. Za to on opowiadał mi o swojej ojczyźnie, jak ta mała kraina po stuletnich walkach Angielskiej przemocy uległa, i teraz posełając w ha-

raczu wojsku zwycięzców najdorodniejszych młodzieńców, puste swoje kraje jeszcze bardziej wyludnia. Często odwiedzaliśmy zwaliska tego zamku gdzie piękna i nieszczęśliwa Marja, długo przez samych Szkotów więziono była, nim się do Anglji schroniła, i legła pod toporem okrutnej Elżbiety. Tu mój przyjaciel zawsze był smutnym. „W tych czasach nierzędu — zawołał — zginęła wolność Szkocji. Wolność tylko jest życiem, nie mam już więc ojczyzny. Ledwo powieści o dawnych Królach naszych, obijajo się teraz w tych smutnych górach, w których niegdyś słynęli władzcy potężni". Na próżno odwodziłem go od tych myśli. Nad wszystko kochał on nauki, więcej jeszcze wiarę przodków, a najwięcej ojczyznę. Opowiadał mi podania, które w górach swoich usłyszał. Dawnego Kaledońskiego języka nie mogłem się dobrze nauczyć, bo jest nadzwyczajnie trudny, ale wszystkie pieśni, które umiał mój przyjaciel, zrozumiałem z jego pomocą, i zdumiałem się nad mocą i wyniosłością która je ożywia. Opowiadał mi jak wielkimi byli ich Królowie w dawnych czasach, jak ludne pokolenia, jak sławni Bardowie, którzy dobrowolnie wyciągali z wojskiem, i sami śmierci szukali, jeżeli legli wodzowie którym się poświęcili w życiu i przy zgonie.

„Jestem — rzekł do mnie pewnego wieczora — jednym z tych Maklodów, którzy w najnieurodzajniejszej okolicy ubogo żyją, i podlegają naczelnikowi

zwanemu Laird, który jest z ich pokolenia i imię ich nosi. Kraina na której mięszkamy, przyzwoicie zaludniona, mogłaby znaczne państwo utworzyć. Tak na kilkanaście mil przestrzeni rachujemy ledwo do stu familij. Mięszkania nasze na skałach wzniesione, nie mają okien ani kominów. Ziemia, zwierzyna i ryby są nasze: ale grunt jest skałą, mgły wieczne, zakrywają nam promienie słońca, mróz ścina wody, a zwierz szuka obfitszych okolic. Tak więc pożywienie nasze jest skromne, a w przykrej porze, często głód do chatek naszych zawita. Ale pokolenia nasze nie oddalą się z tej samotności i z chęcią pracują; lubiemy góry które zawarowały prostotę naszych obyczajów od zepsucia zwycięzców.

Laird z naszego pokolenia sądzi nas podług odwiecznych zwyczajów, jeśli kiedy jest co do sądzenia, tam gdzie własność tak ograniczona, gdzie granic nie znamy. — Nasze siostry i żony modlą się i przędzą, są nam wierne i nieznają reszty świata.— Chatka mojego ojca leży na północnej stronie krainy Maklodów. Współbraci naszych widujemy tylko w święta w kościołach, innych ludzi nigdy, bo przez morze wieczną burzą kołatane, przez góry bezdrożne, rzadko kiedy podróżny wstąpi w nasze progi. Na ścianie u mojego ojca zawieszone jest drzewo ród nasz wystawujące, a jeśli który z Maklodów o niegodnym czynie pomyśli, spojrzy na obraz, zawstydzi się i poprzysięże nie znieważać przodków w mo-

Teraz dopiero pojąłem dumę i cały charakter przyjaciela mojego. W takiej samotności kształcony umysł, musi oswoić się z żałosnemi uczuciami, musi się natchnąć miłością wolności być godnym krwi Królów i bohaterów. Takim był mój przyjaciel. Raz gdym z nim razem na Artúra siedlisku stanął, opowiedział mi następujące o rodzie swojem podanie.

„Jeden z najpierwszych naddziadów moich był władzcą północnej wyspy. Miał kilku synów, lecz nad wszystkich wsławił się najstarszy Oran. Odważny, silny, wspaniały, obojętnym był na wdzięki córek ojczyzny swojej. — Szedł na wojnę, wracał wśród pieśni zwycięztwa otoczony licznemi jeńcami, lecz serce jego było wolne. Z dumą i żalem spoglądał ojciec na samotnego rycerza „Zawiesisz tarczę w tej izbie, a niezostawisz syna, któryby ją podniósł po tobie". Tak mówił starzec do niego.— „Moje ramię poświęcam tobie i mym braciom — odpowiadał Oran — ale dusza moja wzdycha za dalekim krajem za inną ojczyzną". A kiedy w zamku wszystko spoczywało, lub gdy przy wesołej uczcie krążyły pełne kielichy, on brał swoj oręż do ręki i szedł między górami noc nad brzegiem morza przetrawić. Gałęzie dębów rzucały cienie na wrzosiste pole, a w ustawnem ich kołysaniu wyobraźnia samotnego Orana, tworzyła sobie lotne duchy i mary.

Głęboko zamyślony spoczywał młodzieniec, a serce jego wznosiło się ku gwiazdzistemu sklepieniu, wtem na najbliższem wzgorzu pokazało się koło dziewic w śnieżnem odzieniu. Białe ich zasłony pływały w powietrzu, albo spadały na ziemię. — Wszystkie zdały się powolne skinieniom jednej, która wdziękami wszystkie zagasiła. Oran nie śmiał oddychać aby nie przerwać snu tak miłego, jeźli to tylko snem było. Bogini dała skinienie, z uszanowaniem, cofnęły się dziewice i zniknęły nad brzegiem morza. Młodzieniec stał osłupiały. Dała mu znak powtórny, zbliżył się z nieśmiałością, a za każdym krokiem pomnażały się wdzięki nadludzkiej istoty. Pada jej do nóg, piękna ręka go podnosi, przyciska do serca i wkrótce daje znak by się oddalił. Powróciły jej towarzyszki. Bogini raz jeszcze rzuciła niebieskiem okiem na Orana i zniknęła wśród wałów morskich, kładąc palec na pięknych ustach jako znak milczenia. Miłosć zaczęła być szczęściem młodzieńca, milczenie zakładem miłości. Sam siebie niepojmując wrócił na zamek ojcowski. Odtąd dzień stał się nocą życia jego; błąkał się marzeniom oddany, aż do zmierzchu wieczornego. A skoro pierwsza gwiazda zabłysnęła i blaskiem swoim pozdrowiła niespokojnego, zaraz wzniosły się wody, szmer słychać między liściami, bielą się szaty dziewicze, Bogini wróciła do swego ulubionego. Dopiero gdy taż gwiazda już przed jutrzenką blednieć zaczynała, wtedy

był kres szczęścia Orana. Bogini niknęła w powietrznej krainie, on poszedł na zamek ojca przetęsknić dzień cały. Umarł dla swoich i opuścili go wszyscy, ojciec z żalem, inni z odrazą ku tym nieustannym przechadzkom nocnym. Wtem wojna zagroziła jego pokoleniu. Nazajutrz trzeba było wyruszać. Pierwszy raz w życiu ze smutkiem się przybliżał do miejsca, w którem był szczęśliwym. Nie umiał żyć bez swojej lubej. Bogini z uśmiechem zbliżyła się do niego i przyniosła tę wiadomość, że wkrótce zupełnie do niej będzie należał. Nie zrozumiał jej ale z wdzięcznością przyjął część zasłony, którą mu dała. — „Przywiąż to — rzekła — do twojej chorągwi, niech na zawsze zostanie przy twym rodzie, a zawsze zwycięztwo przyniesie.

Kiedy pociągnął na wojnę, oddał swoim tę chorągiew, strzedz jej kazał jako święty zakład zwycięztwa; i rzucił się pomiędzy walczących. — Pierzchnął nieprzyjaciel, z zajadłością ścigał go Oran, lecz po zaciętej walce upadł okryty ranami. — Słońce zaszło, przyjazna gwiazda zabłysnęła. Bogini przybiegła na pomoc ulubionemu. Powietrzną zasłoną okrytego, uniosła przed wściekłością nieprzyjaciół i złożyła w znajomej zaciszy. Jej towarzyszki pomocnemi ziołami ukoiły jego boleści i zamknęły rany.

Jakże się zdziwił kiedy przebudzony ujrzał się na łonie swej lubej. „Teraz — rzekła do niego — jesteś moim, umarłeś dla świata". I ták się stało. Odtąd wiódł życie zawsze równie szczęśliwe, i nie musiał powracać między obojętnych ludzi. Bracia jego zachowali świętą chorągiew, i płakali przy jego mogile; ale on ze swoją Boginią żyje w szczęściu wiecznem, i coraz przybliża się do Orjona od którego wszyscy pochodziemy, i na jego łonie niegdyś znajdziemy spoczynek".

Wzruszony, temi słowy zakończył Maklod swoją powieść. „A my do tego czasu zachowujemy cudowną chorągiew Orana".

Nie wydałem ja tej powieści, z całą mocą i prostotą, z jaką mi ją mój przyjaciel w języku Kaledońskim określił. Jeszcze widzę w duchu to wzruszenie które się malowało na twarzy opowiadającego. I on jak Oran oczekiwał na jakie piękne zjawisko. Gdyśmy zstępowali ze skały, dowiedziałem się od Makłoda, jakim sposobem z pustyni swojej dostał się do Edynburga.

Laird jego pokolenia poznał w nim wiele zdolności. Posyłał nieraz młodych chłopców do szkół, by ich kształcić do stanu duchownego, jedynego stanu do którego w Kaledonji potrzebują uczonych. Do tego przeznaczył i mojego przyjaciela. W północnej Szkocji Religja jest rzeczą najświętszą. Mięszkańcy

sę powiększej części Prezbiterjanie, z zapałem przywiązani do wiary swojej. Kościoły nie wiele różnię się od prostych chatek uświęca pobożność i głębokie uszanowanie, z którem je odwiedzają. Ojciec Makloda przystał na chęci Lairda; i zezwolił na odjazd syna.

Wkrótce po tej naszej rozmowie, przyszło wezwanie do Makloda przeznaczające go na Pastora do nadmorskiej Angielskiej osady na stałym lądzie. — Przyjął ten rozkaz jako wolę nieba. I ja opuściłem już Uniwersytet; mięszkałem w ojcowskim domu. Przywiązanie nasze było tym mocniejsze, tym czulsze, im bardziej zbliżał się dzień rozstania. Ostatniego wieczora siedzieliśmy z sobą i nie mogli przyjść do ciągłej rozmowy. Mnie łzy w oczach stały, on spoglądał ponuro; wreszcie rzekł: „Mówmy o naszej przyjaźni Edwardzie, o tej przyjaźni którą wiernie dochowalismy sobie. Nieznajdę już takiego przyjaciela, idę w kraj obcy i raz tylko kochać umiem. Tobie zostaje pierwszy przyjaciel, ojciec. — Masz miękkie serce, będziesz szczęśliwym. Ja zabiorę z sobą pamięć twoję, i ta będzie szczęściem mojem wpośród ludzi, których nieznam". „Ah Lauglanie! (b) czy się jeszcze zobaczemy?" — zawołałem. —— „Zapewne" — odpowiedział — ale po drżącym głosie poznałem że wątpił o tem.

(b). Lauglan przydomek Makloda.

Po krótkiem milczeniu zaczęliśmy mówić o śmierci niespodzieawnej. „Gdybym mógł wybierać — rzekł do mnie — obrałbym śmierć od pioruna". Jam przenosił na placu boju, z ręki nieprzyjaciela. „Życzyłbym sobie zginąć w bitwie — mówił na to — gdybym ginął za wolność ojczyzny, lecz umierać jak niewolnik zwycięzcy, jest hańbą. Wierz mi Edwardzie miałbym się za szczęśliwego, gdyby ogień niebieski przeciął dni moje, które jak prawie przeczuwam, nie będą nigdy pogodne".

Przycisnął mnie do serca. Poszliśmy na most do owej żelaznej kraty. Księżyc oświecił przepaść pod naszemi nogami, a w górze skałę Artúra. Tu przysięgliśmy sobie wytrwanie w przyjaźni i cnocie i nie złamaliśmy przysięgi.

Listów nie pisał do mnie, obawiał się żeby daremnie nie pomnażały jego tęschnoty, ale mam przed sobą dziennik który wiernie zapisywał, to drogie świadectwo jego czystej i pięknej duszy; a tu o mnie nie zapomniał.

Z tego dziennika chcę zebrać w krótkości jak kochał, cierpiał i umarł.

Nie podobało się Makłodowi miejsce jego przeznaczenia. Ludzie żyli oddani handlowi i uciechom biesiadnym, cenili każdego podług jego dochodów, a Literatura ojczysta mniej była im znana, od najosobliwszych płodów zagranicznego przemysłu.

Cała osada miała dla niego największe poważanie, ale niebyło nikogo z kimby go ściślejsze połączyły związki. Oddał się więc samotności, nauce historji i języka Francuzów, i szukał zaznajomienia z pewnym domem, który należał do tego narodu i żył jak najskromniej. Z początku rzadko tam chodził potem częściej, aż nareszcie każdego wieczora.

Zofja jedyna córka i ozdoba tej dobrej familji, dobrocią, prostotą i pięknością pociągała go do tego domu. Nie mógł dłużej ukrywać przed sobą, że Zofję kochał nad życie; ale zaraz pomyślał o strasznej przeszkodzie, która ich na zawsze rozłączała, a ta była różność wyznania.

Ile razy spojrzę na to miejsce dziennika Maklo- da, zawsze z nowem zdumieniem, widzę w niem niezatartą dzielność wrażeń młodocianych. Rozum jego był ukształcony. Znał dzieje i obyczaje tylu ludów. Czyste jego wyobrażenia tam tylko mącić się zdały, gdzie pochodnią rozumu, przepisów Kościoła swojego niesmiał objaśnić. Tu był zaciętym Szkotem, Maklodem, choć indziej postępowaniem jego zawsze wyższe światło kierowało.

Nie ta czysta wiara, która pokój przynosi w duszę oświeconego człowieka: ale ponura i fanatyzmu bliska władała nim tylu wpośród najpiękniejszych przymiotów. Największej przykładności wymagał od

duchownych. W tym miejscu w dzienniku swoim; tyle wyraża żądzy połączenia się kiedyś z osobą do Zofji podobną; ile stałego przedsięwzięcie nie wejść nigdy z samą Zofją w te święte związki. Skłonność wzrastająca zniknęła przed uczuciem jego powołania; każdy wiersz maluje tęschnotę, ale żaden wahania. Wkrótce jeden młody negocjant starał się o rękę Zofji. Zofja długo zwlóczyła ale gdy wreszcie żadne jej spojrzenie na zachmurzonem czole Makloda nie znalazło odpowiedzi, gdy owszem zaczął rzadziej przychodzić, oddała rękę swoję nowemu zalotnikowi. Maklod szukał rozerwania myśli w pracy i małych podróżach, tylko tego nie mógł przewieść na sobie, aby oglądać szczęśliwą parę. Unikał przeto ich domu. Raz usłyszał że Zofja oddawna jest matką młodej dziewczynki. Kazał sobie dziecię przynieść, wziął je na ręce i żałośnie na nie spoglądał. Wyciągnęło rączki do niego, pocałował je i przycisnął do serca. W tem dziecięciu które odtąd często widywał, zaczął żyć na nowo. Uczył je mowy swojej ojczyzny, i zbliżył się do jego rodziców. Zofja oddała rękę protestantowi, bo ta wiara była panującą w tej osadzie, przeto młoda jej córka wychowaną była w wierze ojca. Mąż Zofji życzył sobie takiego nauczyciela jak Maklod. Chciał mu wyznaczyć jakie wynagrodzenie, lecz ten mu odpisał: „To dziecię jest moją roskoszą, jego miłość kiedyś będzie moją nagrodą" teraz o to tylko prosił, ażeby mu wolno

było Celestynę za własne dziecię uważać. — Młoda dziewczyna przywiązała się do niego jak do ojca. Matka jej zajęta była domowemi zatrudnieniami, ojciec czas cały poświęcał handlowi, prócz tego miał więcej innych dzieci, między któremi dzielił starania swoje. Maklod należał zupełnie Celestynie, ona, jemu.

Twarz jej mniej piękna, miała coś nadzwyczajnie wabiącego, postać cała ujmująca, boskie swiatło tryskało z oczu; kiedy je wzniosła na Makloda, widział w nich całe szczęście swoje, kiedy mówiła językiem jego ojczyzny, dusza jego przenosiła się do ulubionych gór Kaledonji. Z wdzięcznością pisał o tem szczęściu, które mu niebo zesłało, i dni te były najpogodniejsze w jego życiu. Uczył ją języków i dziejów różnych narodów; a prostota, moc i zasadność z jaką się tłumaczył, odcisnęła się na sercu Celestyny. Przywyknął jej umysł do głębszego myślenia nad każdą wiadomością, do mówienia gruntownie, z całą siłą męzkiego umysłu przybraną w te czarowne ozdoby, które tylko dusza kobiety utworzyć i godnie wydać może. Celestyna dla ojca miała tylko uszanowanie, dla matki miłość dziecinną, skłonność do braci, ale serca do nikogo. Wszystkie te uczucia połączyła dla Makloda. Odsłonił on przed nią tajemnice sztuk i umiętności, lecz kiedy o religji, kiedy o szczęściu wybranych zaczął z nią mówić, wtedy wydawał się jej więcej niż człowie-

kiem. Z czcią najgłębszą przystępowała do tego, który jak sama mówiła, musiał przybyć z krańców pułnocy, by został jej nauczycielem.

(Ciąg dalszy w przyszłym numerze).

SZARADA.

Me *pierwsze z trzeciem* przez to słynąć będzie,
Że na niem dawni brżdąkać mieli wieszcze:
Me *drugie* i w liter rzędzie,
I mojem *wszystkiem* jest jeszcze.

